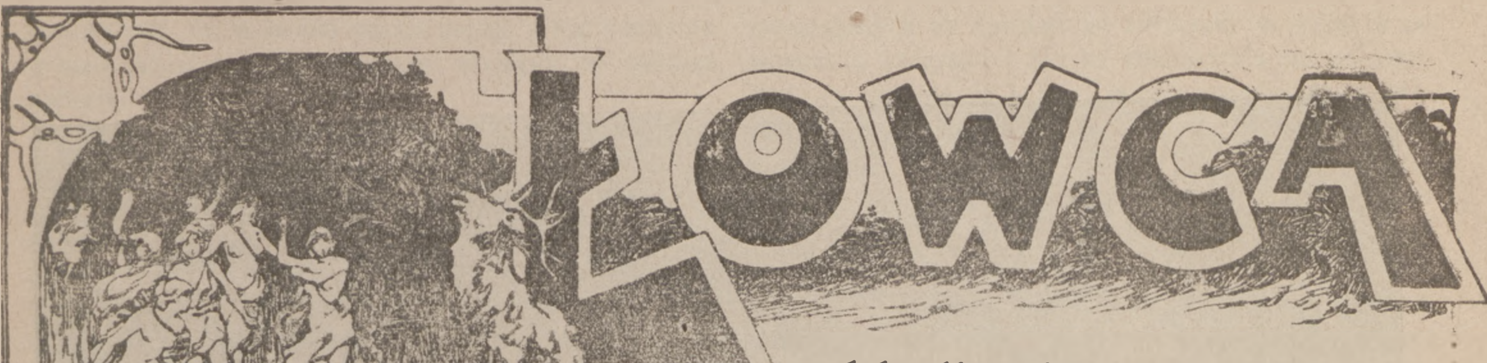
Nr. 17. i 18. Lwów, wrzesień 1918. Rok XLI.



okładka inseratowa.

Kalendarzyk łowiecki na październik:

W październiku wolno polować na wszelką zwierzynę łowną.

Redakcja i Administracja „ŁOWCA“ znajduje się przy ulicy Cichej nr. 1., I. p.
Godziny urzędowe dla stron od 9—1. W niedzielę i święta biuro zamknięte.

Wszelkie wpłaty należy uskuteczniać w tem biurze za jego odpowiedniem pokwitowaniem, względnie za przekazem pieniężnym lub czekiem, zachowując recepis jako dowód zapłaty. Tam również należy przesyłać wszelkie korespondencje przeznaczone dla Redakcji i Administracji „Łowca“. Rękopisów Redakcja nie zwraca.

L. M. 114867/1918
I.

OGŁOSZENIE!

Zarząd Gminy miasta Lwowa rozpisuje niniejszem publiczną licytację ofertową na wydzierżawienie prawa polowania w dobrach miejskich

WOLA DOBROSTAŃSKA

położonych w powiecie gródeckim, obejmujących około 3.500 morgów lasu, na przeciąg lat trzech, względnie sześciu, począwszy od 1. listopada 1918 r. do końca sierpnia 1921, względnie 1924 roku.

Od polowania wyłącza się staw we Woli dobrostańskiej i łąki pomiędzy lasami, zajęte pod ujęcia wodociągowe.

Do oferty należy dołączyć kwit na złożone w Kasie miejskiej wadjum w wysokości 10% ofiarowanego za cały czas czynszu dzierżawnego.

Bliższe warunki dzierżawy przejrzeć można w godzinach urzędowych **w I. Departamencie Magistratu (II. piętro, ratusz).**

Opieczętowane oferty należy wnosić najdalej do dnia **19. października 1918 r.** do godziny 12. w południe w I. Departamencie Magistratu.

Zarząd Gminy król. stoł. miasta.

We Lwowie, dnia 19. września 1918.

Dr. Stesłowicz m. p.

Nr. 17. i 18. Lwów, wrzesień 1918 Rok XLI.



Wpisowe do Towarz., odznaka, ustawa, legitymacja (jednorazowo) 20 koron.

Wkładka roczna członka 20 koron.

ŁOWIEC

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

SEWERYN KROGULSKI.

Szkic dziejów łowiectwa w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

Pilawin.

Z tym królem puszczy, żubrem, spotkał się z bronią w ręku, — dziwnym zbiegiem okoliczności, — myśliwy nie pod naszem urodzony i wychowany niebem, lecz daleki gość zamorski, Mr. W. Winans, Amerykanin, głośny w swej gwiaździstej ojczyźnie sportsmen i strzelec.

Po tej stronie Atlantyku znają go dokładniej miłośnicy sportu strzeleckiego, jako pierwszorzędnego znawcę i mistrza w strzelaniu z pistoletu, a głównie rewolweru.

Temu klasycznemu dla swego kraju kunsztowi, poświęcił Winans obszerne dzieło pt. „Strzelanie z rewolweru". Do jakiego zaś stopnia opanował tę niesforną i przez naszych myśliwych w rzadkich tylko wypadkach używaną broń, świadczy dostatecznie już ta

okoliczność, że w swoim parku poluje z nią konno na daniele, które celnymi strzałami rozciąga w pełnym galopie.

Taki to myśliwy dostąpił zaszczytu dokonania odstrzału żubra, w Pilawinie!

Skazany na śmierć z ręki szampiona światowej sławy przestępca, był to byk wspaniały, sprowadzony z puszczy białowieskiej w r. 1905, liczący około 20 lat, w pełnym zatem rozwoju sił i w doskonałej kondycji, ale tak złośliwy, że do hodowli nadal się nie nadawał.

Od dłuższego czasu musiano go trzymać w silnem ogrodzeniu, w odosobnieniu od reszty stada; nie znosił bowiem rywala! W kilku ostatnich latach zabił aż trzy młodsze byki, oraz dwa bizony amerykańskie, sprowadzone od Hagenbecka.

Był więc w zwierzyńcu istną plagą, groźnym szkodnikiem, którego trzeba było zniszczyć, gdy swą wojowniczość obrócił także przeciw ludziom: zdarzyło się mianowicie, że napadł jadącego konno strażnika, konia zabił na miejscu, a człowieka mocno poturbował.

Wszystkich tych wad, nietylko niczem nie wynagradzał, lecz przeciwnie, potęgował je swą małą płodnością, co ze stanowiska hodowlanego było oczywiście błędem najznaczniejszym. Postanowiono zatem usunąć nicponia, a zastąpić go młodszym żubrem, ofiarowanym hr. Potockiemu, przez byłego, a obecnie już nieżyjącego cara Mikołaja II.

Sposób, w jaki urządzono polowanie — może nie zadowoliłby naszych wybrednych myśliwych, przyzwyczajonych do spotkań ze zwierzem w wolnych rewirach, w których — jak to kilkakrotnie już podnosiłem, — pociąga w równej mierze możliwość spotkania, jak i ewentualność daremnego trudu. Brak tej emocji nie mógł jednak zbytnio w tym wypadku dolegać, ponieważ najpewniejsze nawet spotkanie nie przesądzało jeszcze, wobec dzikości i siły olbrzymiego zwierza, — pomyślnego końca, względnie groziło niebezpieczeństwem przy lada niesprawności. Z drugiej strony, strzał do żubra jest dla dzisiejszego myśliwca czemś tak wyjątkowem, że emocja musiała być, w każdym razie dostateczna!

Przygotowany dla Winansa byk, zamknięty był w miocie, osaczonym sieciami. Dla myśliwego urządzono stanowisko na obszernej polanie, rzadko porośniętej olbrzymiemi sosnami. Obława, złożona wyłącznie ze straży leśnej, konno i pieszo, przy odgłosie trąb i palby z rusznic, wyparła zwierza ze stanowiska.

Wypadł ciężkim galopem, rozglądając się złośliwie, więcej, — wedle spostrzeżeń obecnych na polowaniu — rozjuszony, niż zatrwożony, o jakie 50 kroków od myśliwego.

Ugodzony pierwszym pociskiem amerykańskiego myśliwego w komorę, — nawet się nie zachwiał; po drugim zwolnił biegu, po trzecim i czwartym stanął i począł się słaniać, ale jeszcze kilku pocisków potrzebował, zanim martwy runął na ziemię. Co za siła żywotna!

„Wstrząsający to był widok — napisuje w swej

Jak trubadur.

(Ciąg dalszy).

Gorączka ogarniała mnie coraz silniej, urok i czar tego nocnego polowania odczuwałem teraz w całej pełni. Jest — tajemniczy, jak zagadka, czujny, niedostępny, jest przed nami gdzieś w ciemności, zasłonięty nocą, jest — coraz bliżej. Gra! Słyszę coraz wyraźniej. Czy zdołam go zobaczyć, czy będę dość ostrożnym, czy będę strzelać? Pytania jak błyskawice lecą mi przez głowę. A on tam jest jeden tylko, jeden, upragniony. Jedna pomyłka, jedna nieuwaga — przepadnie wszystko. Straciwszy tę sposobność, długo czekać będę na drugą. To nie stado kuropatw — nie bażanty! Na nic podróż, na nic noc nieprzespana, na nic zachody. Jedna przez drugą myśli lecą, spychają się, plączą; bije serce, z piersi prze coś do gardła i świszczy w oddechu.

A on gra, jak gra! Gra znowu, zapamiętał się, roztoczyć chce przed nami cały swój kunszt, cały zachwyt miłosny, całe upojenie. Las cały kipi i syczy od jego pieśni; sto głuszców gra, nie jeden! Aż dziwno, jak ten głos wypełnia knieję. Namiętność jego przechodzi na nas, czuję, że drżę, jak w febrze. Znowu pieśń — skoczyliśmy. W pół kroku leśnik stanął, jak wryty, aż oparłem się piersią o jego plecy. Głuszec jak nożem uciął. Zatrzymałem oddech i pewien, że stracone wszystko, z bijącem sercem czekałem, kiedy się zerwie.

Dostrzegł nas widać, czy posłyszał — myślałem w duszy — zaraz rozlegnie się łopot jego skrzydeł. A przecież szliśmy tak cicho, tak ostrożnie; do ostatniej chwili grał tak dobrze!

Nie zrywa się jednak; jest jeszcze nadzieja — czekamy. Równie dobrze jak osacznik wiem, że losy nasze roztrzygają się teraz właśnie, teraz zdradzi nas najmniejsza nieostrożność. Czujny ptak podejrzewa coś i najlżejszy szmer, najmniejszy ruch spłoszy go z pewnością.

Tak ocenia położenie i stary Harasym, bo cały zasłuchany, bez ruchu i bez gestu stoi przedemną, nieruchomy jak głaz. Coś dziwnie drażniącego, dziwnie męczącego było w tem oczekiwaniu. Nasłuchujemy, lecz wiemy, że z niemniejszą uwagą słucha i głuszec, czekając czy nie zdradzimy się przypadkiem, czy nas nie odkryje. A on zmysły ma subtelniejsze i lepsze,

notatce ś. p. R. Sokalski, — widok, którego obecni do końca życia nie zapomną“!

Polowanie Mr. Winansa nie skończyło się na tem, ubił bowiem tego samego dnia jeszcze dwa wspaniałe byki wapiti — 14-taka i 16-taka — oraz łosia, ważącego 23 pudy.

Najznamienniejszą cechą umysłowości amerykańskiego sportsmena — jest niewątpliwie sposób, w jaki postarał się o upamiętnienie swych łowów: oto przywiózł z sobą londyńskiego fotografa specjalistę, który cały przebieg polowania uwiecznił na filmie kinematograficznym.

„Wstrząsające wrażenie“, odniesione z tych łowów, miało być, niestety, ostatniem, jakiem targnął dusze myśliwskie uroczy Pilawin.

Jeżeli zaś można przypuścić, że echem rozgłosu Pilawińskiego zwierzyńca stał się w Ameryce sam Winans, a po szerokim świecie film londyńskiego operatora, to w sposób poważniejszy rozbrzmiał on rok przedtem w Polsce, dla naszych myśliwych, na „Wystawie Sportowo - Przemysłowej“ w Warszawie.

Wystawa ta była jakby pierwszym wyraźnym pomrukiem niezadowolenia rosyjskiego kolosa, który później dźwignął się do wojny. Mmianowicie, gdy w r. 1910. Wiedeń urządził myśliwską wystawę międzynarodową, Rosja, jedna jedyna z pośród państw europejskich, uchyliła się od jej obesłania. Wtedy to szeptano, że przygotowanym eksponatom rosyjskich i nierosyjskich, lecz w imperjum zamieszkałych myśliwych, — przeszkodziły w drodze do Wiednia „względy polityczne...“

W dwa lata potem, t. j. w r. 1912, — może dla zatarcia wrażenia, urządzono w Warszawie wystawę, na której, wzorem Wiednia, sprzęgnięto łowiectwo z sztuką, nauką, handlem i przemysłem, łączącym się ideowo lub praktycznie z polowaniem, a na wystawę w stolicy „Przywiślańskiego kraju“, przysłali swe trofea car, wielcy książęta i dostojnicy carscy...

W wystawie tej wziął udział oczywiście i Józef hr. Potocki. W osobnej grupie ukazał trofea zebrane w swym Pilawinie, a poza niemi unaocznił jego dzieje i rozwój w tablicach statystycznych, planach, fotografiach, modelach i rysunkach.

Jako delegat G. T. Ł. zwiedziłem tę wystawę i zdałem z niej sprawę w nrze 13. „Łowca“ 1912. Szukałem tam przedewszystkiem tego uzupełniania *polskiego* łowiectwa, którego nie ukazał w całości Wiedeń w r. 1910, obesłany tylko przez Galicję i Poznańskie.

Należąc zaś do „jury“, miałem sposobność dokładnego obejrzenia trofeów, zebranych po szerokiej ziemi Polski historycznej — i głębokiego zadumania się nad trofeami „Jego Wieliczestwa“, zdobytemi w Białowieży i Spale.

Jakież wrażenie czynił łeb żubrzy, pochodzący z Pilawina, z tej oazy polskości, sterczącej dumnie z rosyjskiego zalewu, z tego jedynego miejsca, w którem „carski“ żubr znalazł się znowu na własnej ziemi, polskiego właściciela, co jak drugi Noe zebrał w swym Pilawinie „wszystkich zwierząt po parze“ —

---

niż nasze. Odezwie się jeszcze, czy nie odezwie, czy będzie grać jeszcze, czy też spłoszony odleci? Od tego zależy wszystko, a my bezradni, bierni możemy czekać tylko i słuchać. Nasze losy nie leżą już w naszych rękach i wpłynąć na nie nie mamy sposobu. Musimy być cierpliwi i — czekać. A może?.. Minęła tak minuta, dwie, pięć: w piersiach serce bije jak młotem, nic — głuszec milczy. Świta, już wyraźnie dnieje, niedługo wschodzić będzie słońce, a z każdą chwilą prawdopodobieństwo powodzenia jest mniejsze. Za dnia nie podejdziemy głuszca.

Już w lesie odzywać się poczynają głosy ptactwa; pojedynczo naprzód, potem coraz nowe, coraz liczniejsze i coraz głośniej. Las budzi się i zaczyna żyć. Nad lasem, kwacząc rozpaczliwie, ucieka przed kaczorem krzyżówka, słychać, jak lotki świszczą im w skrzydłach. Na świerku, tuż nad naszemi głowami zawodzi swe ranne tryle drozd, w powietrzu, w przestrzeni to wznosząc się, to zniżając, warcząc skrzydłami, jak wielki żuk, brzęczy kszyk. Między wierzchołami sosen, chrapiąc i poświstując, wije się, jak wielka, czarna ćma, słonka. Chórem las cały śpiewać poczyna wielki poranny hymn życia i światła. Miesiąc, skończywszy swój nocny pochód, już niepotrzebny światu, odchodzi spocząć. Jeszcze chwila, a zacznie się panowanie słońca. Świt, ranek, cała puszcza, cała przyroda śpieszą witać gwiazdę dnia, źródło życia.

Już na niebie różowa, nieśmiała uśmiechać się zaczyna jutrzenka. Nadchodzi chwila bogów, lecz my nie przyszliśmy podziwiać tych cudów, nie bierzemy udziału w tem wielkiem święcie. Jesteśmy jak świętokradcy; do świątyni wiosny zakradamy się, aby wnieść do niej śmierć i żałobę. Dla nas, jak dla ducha ciemności, noc jest potrzebną. Kiedy zaświeci słońce, musimy odejść, bo zamiary nasze i pożądania boją się światła.

..Nareszcie — nareszcie — odezwał się. Naprzód upragnione staccato, wolne, ostrożnie, jak gdyby wahał się jeszcze, jak gdyby wywabić chciał kryjącego się może wroga, jak gdyby próbował tylko głosu. Chwila przerwy — nasłuchuje. Klaszcze raz jeszcze i jeszcze raz, aż zagrał pieśń całą. Osacznik jednak nie ruszał się z miejsca i słuchał. Czekał widocznie, aż głuszec uspokoi się, zapomni o podejrzeniach i rozśpiewa się na nowo. I, jak przed chwilą, popłynęły pieśni namiętne, zapamiętałe, niebaczne na śmierć, która była już tak blizko. Zagrał — zasyczał, skoczyliśmy; biegnąc, odprowadziłem zasówkę u strzelby. Czając się za świerkami, za pniami sosen, posunęliśmy się jeszcze piętna-

jakby żywe dokumenty naszych praw nieprzedawnionych! Znalazł się tam prócz żubra i jeleń i łoś, niedźwiedź i wilk, bóbr i głuszec-zakonnik leśny, słowem: wszystko, co gościła polska ziemia, jako swe twory!

Podziwiałem wzorową łowiecką gospodarkę, przemawiającą zrozumiałym dla myśliwego językiem suchych dat, oraz drobnymi modelami — i zaiste — mimowoli nasuwały się oczom duszy wspaniałe obrazy pilawińskiego uroczyska, — jakie ożywić miały w niedalekiej przyszłości wołyńskie knieje!

Tam też zrozumiałem ów niewysłowiony powab Pilawina, narzucający się z siłą przemożną każdemu miłośnikowi przyrody i łowów — i zrozumiałem całą rozkosz, oczekującą mnie w razie zwiedzania tego potężnego zwierzyńca. Szczęście to miało mi przypaść w udziale wraz z całem Prezydjum G. T. Ł., które, zaproszone swego czasu przez Józefa hr. Potockiego, wybierało się do Pilawina jesienią 1914.

Ale los miał tym razem spotęgować tylko pragnienie przez to, że go nie ukoił!

Gdy podróż do Antonin przechodzić poczęła z dziedziny zamiarów w rzeczywistość — wybuchła wojna!

Pilawin przeżył wszystko — co mieściło się w jej skali — a niestety i to, czego prawdopodobnie w najgorszych nikt nie przypuszczał snach — pogrom zupełny! Znamy go z opisu syna właściciela, Romana hr. Potockiego.

Dziś trudno przewidywać, czy porośnie na nim tylko siew wspomnienia i żalu za minioną chwałą. Żyjemy w czasach pełnych niespodzianek i zapowiedzi, a w oczach naszych ucieleśniają się najtrwożniejsze obawy, jak i — rzadziej niestety — najśmielsze nadzieje.

Po całej Polsce rozsnuła się najdziwniejsza arabeska wszelkich możliwości, a choć w niej tu i ówdzie przebłyska wstęga promienna, to jednak tak splątana, że pochwycić jej wątek, rozwiązujący tajemnicę zawiłego rysunku — trudno!

I choć na przełomie, na którym stoimy — wróżą nam godzinę cudu, która ma ziścić nasze pragnienia, a tęsknotom serdecznym kres błogi położyć, to jednak nie można się oprzeć natrętnej myśli, — że ludzkość cała odbywa jeden tylko dalszy etap rozwojowy.

Zmienią się formy, spotężnieją zdobycze techniczne, pomnożą się środki, lecz treść istotna pozostanie tasama. Natura ludzka na podobieństwo róży pielęgnowanej umiejętną ręką ogrodnika, stanie się bogatszą i piękniejszą — ale zachowa swoje kolce...

Na szerokim strumieniu życia, jaki popłynie poprzez pobojowiska, znajdą się, jak i dotychczas, wyjątkowi żeglarze, sterujący swe łodzie ku Ideałowi! Znajdzie się miejsce na usiłowania szlachetne i ukochania głębokie, z rodzaju tych, które wbrew chłodnym obliczeniom rozsądku, wbrew przykładom i doświadczeniom cierpkim, popychają do tak wielkich zamierzeń — jakim był Pilawin.

Takim, a nie innym jest bieg życia. Wierzymy zatem, że nie zamrze i ów „prainstynkt łowczego pościgu za zdobyczą leśną", który u Weyssenhofa, upatrującego ostatnią prawdę i ostatnie ukojenie w ży-

---

ście, dwadzieścia kroków może. Leśnik przypadł do grubej sosny, przywarł do niej i, wychyliwszy głowę, począł wypatrywać.

Jeszcze pieśń jedna. Stanąłem za nim. Głuszec grał tuż, nad nami prawie. Staliśmy nad polaną na brzegu lasu, blizko przed nami rosło kilka gęstych, zwichrzonych sosen, a za sosnami, nad ziemią, na czystem niebie wisiał, jak srebrna misa, blady zachodzący miesiąc. W takt pieśni, ledwie poruszając ręką, osacznik pokazał mi jedną ze sosen i, szepnąwszy „sidit", zamarł z podniesioną dłonią. Gra, znów gra, słyszę każdy ton, każdą modulację pieśni, słyszę, jak szeleści piórami, na głos mógłbym strzelać prawie, ale dopatrzyć go, dojrzeć wyraźnie nie mogę. Na moje biedne, miejskie oczy zmęczone drukiem, jest za ciemno — nie widzę. Leśnik, jak skamieniały, wyciągniętą ręką pokazuje mi uporczywie tę samą sosnę. Patrzę, wysilam wzrok, chciałbym się cały w oczy zamienić — napróżno — nie widzę! Jak w gorączce, dygocę całem ciałem; wzruszony, półprzytomny patrzę, wpatruję się — nic — nic! Kolejno szukam go na wierzchole sosny, w konarach, na bocznych gałęziach, między miotłami igieł, szukam na ziemi nawet; patrzę raz i drugi i trzeci — nadaremnie, nie widzę.

— Nie zobaczę go chyba! — myślę z rozpaczą — przecież zerwie się w końcu.

A on zawodzi tymczasem bez pamięci. Od czarnej sosny, która kryje go zazdrośnie w swem łonie, pieśni płyną coraz głośniej, coraz namiętniej; zalały las cały i zagłuszyły wszystko. Nie słychać teraz głosu innych ptaków. Świat zniknął mi z przed oczu, ani myślę, ani zastanawiam się; widzę tylko sosnę, na której siedzi, kieruje mną tylko instynkt. Wydaje mi się, że znam już każdy jej szczegół, każdy konar, nieledwie każdą gałązkę. Głuszca jednak, którego pokazuje mi osacznik, dojrzeć nie jestem w stanie. Moje oczy pozostają bezsilne, nie widzę.

A tymczasem dnieje, dnieje coraz wyraźniej, światło coraz głębiej przenika do wnętrza lasu, coraz to dalsze plany wynurzają się z ciemności. Otoczenie nabiera już barwy żywszej, cieplejszej; tylko patrzeć rumienić się będą wierzchoły drzew. Księżyc połową już tylko wychyla się nad czarny skraj lasu — świta wyraźnie; dzień tuż. Jeszcze próbuję, patrzę: — rosochaty podwójny wierzchołek... konary, z których zwieszają się miotły igieł.. czarny pień... drgnąłem. Zamknąłem oczy, lękając się, że to złudzenie tylko, że mami mnie wyobraźnia. Powoli, ostrożnie otwieram je, niepewien

wej przyrodzie, „odmładza swą mocą“ każdego człowieka!

* * *

C. d. n.



WŁADYSŁAW KROGULSKI.

Góry uralskie i step kirgizki.

(Z zapisków jeńca.)

(Ciąg dalszy.)

Jeśli jest w Starym Świecie zakątek, który Bóg przeznaczył myśliwemu jako nagrodę doczesną za jego żywot zacny przed Panem i za jego cnoty myśliwskie — to jest nim Ural!

Bez cnót myśliwskich nie wnijdziesz duszo do tego raju, gdy zaś przez pomyłkę losu tu się dostaniesz, strzelaczu zwykły, to po trzydniowem lizaniu się z trudów podróży i po pierwszym spacerku z fuzyjką, — wrócisz z pełną torbą..., ale... ładunków, pod dach, który cię gościnnie przyjął — spakujesz swoje waterprofy — i... w nogi!

Ale za to myśliwego z żyłką, choćby mu gorąca junacka krew już nieco przykrzepła w tętnicach, gdy tylko pociągnie nosem, jak stary wyżeł — i ułowi w znikotyzowane nozdrza ten zapach próchna i żywicy, jakiem tchną ostępy nie deptane stopą ludzką, gdy Baszkir, pytany po drodze o nazwy mijanych miejscowości zacznie mu śpiewać „Kamajełga“ (rzeka bobrów), „Aju-utkan“ (niedźwiedź uszedł), „Jauz-bars“ (zły tygrys), „Sohat-utrdiler“ (łosia zabili), „Berket-tugaj“

czy obraz, który widziałem, powtórzy się, czy zniknie, jeśli spojrzę zbyt śmiało. Nie — jest! Teraz widzę go wyraźnie. Nad srebrną tarczą miesiąca, na jasnem tle nieba odcina się czarno jego sylwetka. Siedzi na sęku, z boku drzewa; poruszył się — roztacza ogon — gra. Dlaczego nie dojrzałem go wprzódy, jak się to stało? Wszak siedzi odkryty cały. W świetle zachodzącego księżyca widzę go, jak na dłoni. Ale jaki niepodobny do głuszców wypychanych i do głuszców z obrazu! To nie głuszec jakiego wyobrażałem sobie. Niema w nim nic ciężkiego, nic napuszonego. Nawet kiedy tokuje, kiedy roztacza ogon i opuszcza skrzydła, kiedy, zadarłszy łeb do góry, jeży na karku pióra, ani na chwilę nie przestaje być zwierzyną, w całem znaczeniu słowa: wysmukłym, dzikim, leśnym ptakiem. Ach, jak dokładnie widzę go teraz!

Znowu gra, wpadł w ekstazę; zawodząc, cały drży. Gra pleśń za pieśnią. Błyskają mu lustra pod skrzydłami i białe centki na wachlarzu. Jestem zamagnetyzowany, zaczarowany! poprostu zapominam, po co przyszedłem, i nie śmiem poruszyć się, aby podnieść strzelbę do twarzy. Gra a między pieśniami stroszy pióra, zamyka i otwiera ogon, jeży pod dziobem brodę i pawi się, jak gdyby odgadywał, że nań patrzą, jak gdyby chciał nas zadziwić. Ależ gra! W przerwach przestępuje z nogi na nogę, wyciąga szyję i słucha; gra i nasłuchuje. Ciche, stłumione, w lesie odezwało się kwoktanie samki. Odpowiada na nie pieśniami i gra jeszcze zapalczywiej, jeszcze namiętniej — czuć, że podnieca się i upaja własnym głosem. Z kniei coraz liczniejsze odpowiadały mu kury.

— Strelajte, pane! — szepnął osacznik.

C. d. n.



(orla dolina), „Berdjasz" (potok pstrągów), „Tulmenjełga" (rzeka łososi) i tak bez końca, co góra, polana, lub potok, to nazwy ich związane albo z rodzajem zwierza, lub ryby, w którą obfitują, albo ze wspomnieniem jakiego zdarzenia myśliwskiego,—to z pewnością poczuje ten miły dreszczyk, który jest przedsmakiem spodziewanych rozkoszy myśliwskich.

Takich też doznawałem wzruszeń, jadąc na miejsce mojego wygnania — jako internowany — do Inzerskiego okręgu górniczego, wsi Kama-jełgi (rzeki bobrów).

Sama podróż tutaj jest przedsięwzięciem godnem obszernej wzmianki:

Przestrzeń tego okręgu, równającą się mniej więcej Galicji od jej zachodniej granicy po Rzeszów, przecięta jest tylko jednym jedynym t. zw. traktem, czemś na kształt drogi, skomponowanej, — bo budową tego nazwać nie można — z kamienia, wody, ziemi i drzewa. Niestety, elementów tych ręka ludzka nie zmusiła do jakiejkolwiekbądź z sobą łączności, a indywidualny stosunek tych żywiołów do siebie, jest co najmniej wrogi. Z wywodu tego jasno wynika, jak ujemnie odbija się to wszystko na nogach koni, całości wehikułów i bokach nieszczęsnego podróżnika. I oto właśnie los zechciał, że musiałem odbyć tę słodką podróż, wprawdzie w towarzystwie miłej białogłowy... (proszę tylko bez domyślników, bo mojej rodzonej żony!), ale zato wiosną, kiedy rozluźnienie w konsystencji dróg jest najfatalniejsze.

Pierwszy „jamszczyk" (woźnica), jaki się nam dostaje, ma być „pewny", tj. jeden z tych, co to pytany odpowiada: — „Jakżeż!... drogę przecie znam tak, że czy dzień, czy noc dla mnie *wsio rawno* — tyle lat rozmaite *naczalstwo* wożę i nigdy żadnego wypadku nie było". Jedzie się rzeczywiście noga za nogą, lecz mimo to kołaczesz się w tarantasie, jak groch w pęcherzu, przesiadasz się, wstajesz, klękasz, wreszcie trach! Tarantas po krótkiem chwianiu się, mimo, że usiłujesz sam ze wszech sił zapobiedz wywrotowi, wali się w błoto. Jamszczyk, z trudem podnosząc wehikuł, mruczy pod nosem: — „Ach, czort wziąłby, że też kużden raz cholera na jednem i temsamem miejscu wywalić się musi"! Nie chcę, rozumie się, przypominać mu, jak niedawno twierdził, że „nigdy wypadku nie było".

Do następnej stacji — jak opiewa rządowy drogowskaz — jest tylko 45 wiorst; wiedzieć jednak zawsze trzeba, dla osobistej orjentacji, że baszkirska wiorsta jest wprawdzie wązka, atoli niezwykle długa, a to z powodu zygzakowatej konfiguracji terenu, której przy urzędowem oznaczeniu odległości nie brano w rachubę. Potwierdza to zresztą ludowa gadka: „Drogę mierzył Fedor z Tarasem: mierzą, mierzą, łańcuch im pęka, Fedor mówi: „zwiażem". Taras odpowie: „Ach! lepiej tak „skażem"... Na tych dowolnie przyjętych danych opierają potem plany urzędowe.

Wszystkie te „intermezza" w mojem opowiadaniu mają ten cel jedynie, miły czytelniku, aby odwrócić twoją uwagę od widoku tortur, jakie znosimy podczas tej strasźliwej jazdy.

Nareszcie stacja. Z baszkirskich jurt wybiegają na nasz widok dzieciaki, „apaj" i „kizini" (baby i dziewki), zerkając na nas wstydliwie z po za swej „czalmy" błyszczącymi węgielkami oczu. Właściciel stacji, dostojny, brzuchaty Baszkir, ugaszcza nas obficie „czajem", miodem, „biszbarmakiem" (kluskami z koniną). Przed gankiem pobrzękuje dzwonkami „trojka" tęgich baszkirskich źrebców.

Na koźle już inny typ jamszczyka, zuchowaty „małaj" (chłopak) w ponsowej „tybetejce" (jarmułce).

Siadamy, i konie ruszają z miejsca. W środku rysak, a dwie „prystjażki" po bokach, odwinąwszy łby, idą w skok.

Najeżdżamy ostro na pierwszą jamę. Bach — bach! bryznęło błoto, tarantas skoczył w górę, koła warknęły w powietrzu, „małaj" przerzuca się z jednej strony kozła na drugą, — znowu koła stuknęły o kamienie.

„Małaj" oglądnął się, czy pasażerów nie wytrząsł, ja zaś widząc, że tą szybką, acz karkołomną jazdą prędzej dosięgniemy celu podróży, wołam: — „Wal, dalej"! i rżniemy z kopyta. W momentach, gdy tarantas snać zmęczony ekwilibrystyką, nachyla się, by spocząć w błocie, do góry brzuchem, przywracamy mu równowagę umiejętnem przemieszczaniem ciężaru naszych ciał, — i jazda dalej.

Konie w pianie, ale temperamentu im nie ubywa. Po siedmiu więc godzinach jazdy jesteśmy w kopalniach Inzierskiego Towarzystwa, gdzie jest też siedziba Zarządu lasów, mej pieczy poruczonych.

Dziwny kontrast! W dzikiej głuszy lasów, o obszarze jednego miljona morgów, gdzie na przestrzeni 150 wiorst z rzadka tylko spotykałem, niezamieszkałe w tej porze roku, zimówki, albo na polanach rozsiane „kosze" tj. szałasy baszkirskie,—znajduję dom o europejskim komforcie: wylakierowany, wytapetowany, umeblowany, elektrycznie oświetlony, przy nim ogród warzywny, stajnie, szopy, w dodatku gościnne przyjęcie u sąsiadów (z administracji kopalni) i miękkie, wygodne, niezapluskwione łóżko, co się w matuszce Rosji rzadko zdarza.

Po kilkudniowym wypoczynku puszczam się na objazd mojego leśnictwa, przewyższającego obszarem swoim niejeden kraj koronny austro-węg. monarchji.

Teraz nieco o topografji tego kraju.

Góry uralskie bardzo przypominają swoim charakterem nasze Karpaty, szczególniej Czarnohorę, z tą różnicą, że więcej tu może lasów liściastych i rozległych błot wyżynowych, nadających tym lasom wygląd tajgi sybirskiej.

Ludem zamieszkującym tę piękną ziemię, są Baszkirzy, szczep — jak sami twierdzą z dumą — arabskiego pochodzenia, z wybitnemi jednak cechami mon-

golskiemi. Naród do niedawna zupełnie niepodległy, nie płacący podatków i nie dający rekruta.

Po wtargnięciu żywiołu rosyjskiego w te góry, w celu poszukiwania złota, platyny, żelaza i miedzi, a równocześnie z nim władz rządowych z policją, które co prędzej drogą kupna, a właściwie najhaniebniejszego w świecie oszustwa, wydarły z rąk tubylców miljony hektarów lasów, przemieniając je na dobra państwowe, Baszkirzy stali się równouprawnionymi obywatelami państwa rosyjskiego. Jak im się to podoba i jaką żywią za to tajoną nienawiść do Rosjan, zauważyłem rychło po życzliwości i względach wyjątkowych, którymi mię darzyli krajowcy, dowiedziawszy się, iż nie jestem Rosjaninem, ale — jak im się zdawało — „germanem".

(C. d. n.)



JAN DROHOJOWSKI.

Wspomnienia z łowów czasu wojny.

(Ciąg dalszy.)

Nadszedł maj i urwały się nasze miłe polowania na Narwi, perkozy znikły zupełnie, a na kaczki, z powodu minimalnej ich ilości, nie warto było polować.

W połowie czerwca pojechałem na urlop, do majątku mego ojca, Piórkiewicz, pod Kowlem. Przyjechawszy, zająłem się gospodarstwem, — lecz, naturalnie, o polowaniu nie zapomniałem. Dzików było bardzo dużo, ale to nie czas polowania na dziki; uwagę nią zwróciłem przedewszystkiem na rogacze, których tu trochę było. Jak jednak marnemi wydały mi się te podjazdy i podchody, — po wspaniałych podjazdach, do jakich byłem przyzwyczajony u siebie w Cieszacinie! Na brak szczęścia i spotkania nie mogłem przecież się uskarżać. Na pierwszym zaraz podchodzie zabiłem borsuka, na drugim lisa, zaś na rannym podjeździe rogacza. Do tej pory wychodziłem cało ze spotkań z rogaczami, choć sporą ich liczbę, bo 563, mam na sumieniu. Dopiero 564 rogacz, gdy postrzelonego dokłuwałem, tak fatalnie się rzucił, że bardzo silnym, a przezemnie nieprzewidzianym ruchem, dość mocno mię rogami w nogę skaleczył.

Pewnego dnia, w samo południe, miałem zajęcie w lesie. Nagle, w niedalekim gąszczyku, usłyszałem głosy zwierzęce, tak dziwne, że podobnych, w dość różnorodnej mojej praktyce myśliwskiej do tej pory nie słyszałem. Wsłuchawszy się dobrze poznałem wreszcie, że mam przed sobą, według wszelkiego prawdobieństwa, maciorę z małemi prosiętami. Wziąłem do ręki mój mauzerek P. 27. (kaliber $6^1/_2$ *mm* $^1/_2$ grama bezdymnego prochu, łuska flaszkowa) i raźnym krokiem puściłem się ku domniemanym dzikom. Zaledwie uszedłem 150 kroków, zobaczyłem całą kupę małych, moręgowatych prosiąt. Przyklęknąłem, w obawie, że stojącego prosięta łatwiej zobaczą, a powtóre chciałem też zobaczyć, gdzie jest locha. Stała o jakie 50 kroków ode mnie, na malutkim pagórku; warchlaczki tymczasem się rozbiegły i niektóre z nich stały ode mnie zaledwie o kilka kroków. Byłem zdumiony ich ilością; w najbliższem mojem sąsiedztwie naliczyłem ich aż 15, a jeszcze kilka wałęsało się po krzakach. Nabrałem więc pewności, że to nie od jednej, lecz od kilku samur, które razem się trzymają. Wkrótce też samura, którą widziałem, zeszła poważnie z pagórka i ruszyła ku bardziej podniosłemu lasowi, za nią pociągnęły prosięta. Wkrótce, niedaleko ode mnie, wylazła z kępy gęstej tarniny druga maciora, i miarowym krokiem pociągnęła za stadem. Ja też powoli i ostrożnie poszedłem za dzikami. W pierwszej chwili chciałem

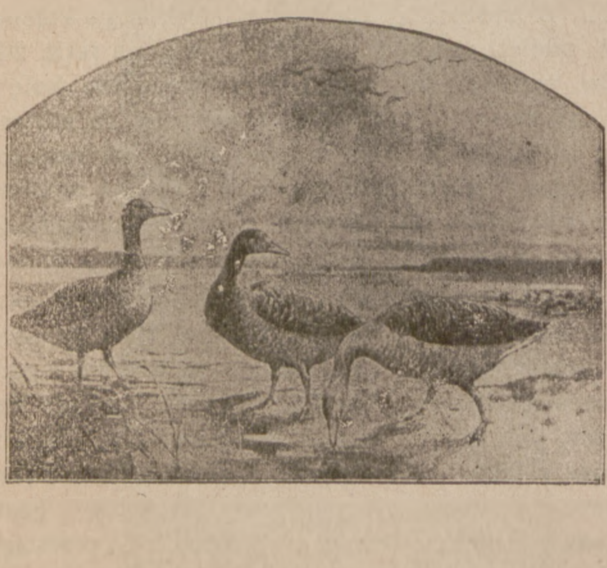
zabić na pieczyste prosię, ale te, które stały tuż przy mnie były zbyt małe. Przekonawszy się, że jest kilka macior, miałem nadzieję wybrać trochę większego prosiaka, bo rozumowałem, że przecież wszystkie nie mogą być w zupełnie równym wieku. Postępowałem tedy tuż za dzikami, upatrując największego warchlaka. Zbliżywszy się do stada na jakie 40 kroków, obserwowałem je swobodnie, skryty za kilkoma zrośniętymi dębami, niezbyt jednak dokładnie, bo widok zasłaniały mi paprocie, w tem miejscu nadzwyczaj bujnie rosnące, w których, małe jeszcze, dziczki chwilami całkowicie się kryły. Zauważyłem przedewszystkiem, że dużych sztuk jest cztery, a po długich rachunkach naliczyłem 21 prosiąt; jeszcze po kilkunastu-minutowej, — powiedzmy nawiasem bardzo interesującej dla każdego przyrodnika i myśliwego obserwacji, — zauważyłem, że tylko trzy lochy mają potomstwo, bo przy mnie zajmowały się karmieniem swych dzieci, czwarta duża sztuka była zatem albo bezdzietną damą, albo też wycinkiem, jej więc z czystem sumieniem mogłem posłać kulę. Nie bardzo byłem pewny mego mauzerka, z powodu małego kalibru i słabego ładunku prochu; wprawdzie bowiem w rogaczu strzelanym na połeć nigdy kula nie została, lecz do zabicia średniej wielkości dzika, zdawała mi się trochę za słabą. Ciekawość jednak przemogła, i gdy dzik, spokojnie ryjąc, obrócił się do mnie na sztych, strzeliłem, mierząc powyżej karku, pomiędzy silnie wystające łopatki. Po strzale dzik puścił się pełnym galopem wprost ku mnie, nim jednak zdołałem włożyć świeżą kulę, skręcił w bok i zniknął mi z oczu. Pomimo najskrupulatniejszych poszukiwań na miejscu strzału, żadnych znaków otrzymania przez dzika kuli nie znalazłem. Udałem się do gajówki i kazałem gajowym poszukać postrzałka, ponieważ byłem pewny, że dzika trafiłem. Nad wieczorem przywieźli mi leśnicy samurę, wagi 102 kg. Mała kulka z Mausera trafiła tak, jak mierzyłem, tuż nad karkiem, między łopatki i przeszła wzdłuż całego ciała, przebijając po drodze płuca, wątrobę i kiszki; kula ugrzęzła aż w tylnej, prawej szynce, tuż pod skórą. Samura była w tym roku jałową. Od miejsca strzału uszła około 500 kroków.

Przy końcu czerwca wróciłem do oddziału, który ciągle stał na „Kurpiach“ przy ujściu Piszy do Narwi. Polować właściwie nie było na co, kaczki były jeszcze małe, na kszyki także było jeszcze za wcześnie. Dopiero około 10. lipca zaczęliśmy z kolegą moim, hr. B., polować na stare nieliczne kszyki, znajdujące się po brzegach, niedaleko od naszego obozu płynącej przez rozległe bagna, rzeczułki. Bagna w tym roku zupełnie powysychały, tak, że tam, gdzie w normalnym roku, jak miejscowi chłopi opowiadali, człowiek przejść nie mógł, teraz na koniu można było swobodnie przejechać. Niewielkie były nasze zdobycze i dość nieurozmaicone rozkłady: jakieś parę kszyków, czasem z dodatkiem bataljona lub kulika. Od 10. lipca zaczęliśmy polować na kaczki, na małych jeziorkach, bardzo silnie zarośniętych, a położonych tuż nad brzegami Narwi. Z jeziorek tych, w braku dobrego psa, było bardzo trudno wypłoszyć kaczki; rolę wyżła spełniali tu przygodnie spotkani chłopcy, którzy z całą pasją, zaprawiających się kłusowników i bezlitosnych tępicieli wszelkiej zwierzyny, z najbardziej grząskich i zarośniętych miejsc, na nas kaczki wypędzali. Polowania te, nie tyle ze względu na ilość, lub oryginalność zwierzyny zasługują na wspomnienie, jak z tego względu, że nieraz, wśród najbardziej interesującego momentu, musieliśmy szukać schronienia przed rosyjskiemi szrapnelami, któremi rosyjska artylerja równie silnie, jak bezskutecznie, ostrzeliwała pruskie aeroplany, bardzo często właśnie tędy, ponad naszymi najlepszymi rejonami polowań, przelatujące w kierunku Ostrołęki. Jak tylko usłyszeliśmy warczenie motoru i zobaczyliśmy białe obłoczki pękających szrapneli, zaraz biegliśmy pod ogromne, o grubych i gęstych konarach wierzby, które licznie nad Narwią w miejscach naszych polowań rosły, i tam szukaliśmy schronienia przed gęsto sypiącemi się kulkami szrapnelowemi. Kilka razy słyszeliśmy świst spadającej łuski szrapnelowej; raz nawet widziałem, jak taka pusta łuska spadła w wodę, o jakie 50 kroków ode mnie, a tak strasznie wyła i świszczała, że byłem pewny, iż prosto na mnie spada; na szczęście tak jeszcze źle nie było. Tak więc pomimo małej ilości i rozmaitości zwierzyny, te nasze letnie polowania na bagnistych brzegach Narwi, były dosyć interesujące i emocjonujące, właśnie dlatego, iż odbywały się bardzo często pod ogniem artyleryjskim. Wyprawialiśmy się też na brzegi niewielkiej rzeczki Szkwy, dopływu Narwi. Było tam trochę kszyków, na zupełnie suchych błotach. Naturalnie i tu były też aeroplany i sypiące się na głowy szrapnele. Główną atrakcję polowań nad Szkwą stanowiły żórawie, których tam kilka stale przebywało. Kilka razy miałem je na strzał kulowy, ale wtedy, niestety, miałem w ręku tylko śrutówkę. Raz jednak pojechaliśmy z moim towarzyszem hr. B., specjalnie na żórawie. Hr. B. strzelał bezskutecznie do wielkiego kulona, ja zaś, podjechawszy do stadka żórawi, na jakie 200 kroków, prześlicznemu samcowi wpakowałem kulę z mego mauzerka. Żóraw puścił masę piór, na miejscu strzału znalazłem kawałki mięsa i kiszek wyrwanych kulą. Żóraw jednak uleciał wraz z innymi i pomimo bardzo starannych poszukiwań, podsycanych nadzieją doskonałego pieczystego, nie udało się go nam podnieść.

Po niefortunnej dla wojsk rosyjskich bitwie pod Szafrankami, dnia 30. czerwca starego stylu, opuściliśmy nasz kochany „Przyczniak“, wieś, w której z górą trzy miesiące staliśmy kwaterą, a przeszliśmy do wsi Gontany, położonych na samym brzegu Narwi. Tu, korzystając z kilku wolnych godzin, poszliśmy z Felim zapolować na kaczki do pobliskich „Taborów“, gdzie były nasze najlepsze tereny myśliwskie. W przeciągu dwóch godzin zabiliśmy, każdy po kilka kszyków i kaczek. Około 6. godziny wieczorem powróciliśmy do

obozu, gdzie już zastaliśmy rozkaz natychmiastowego wyjazdu na pozycję z naszemi linijkami po rannych. Było to nasze ostatnie polowanie nad Narwią, niem też pożegnaliśmy Pianki, Parzychy, Tabory, wsie dokoła, w których tyle miłych chwil spędziliśmy w polowaniach na perkozy i kaczki. W nocy, po drugiej, znów niepomyślnej dla zupełnego braku amunicji, bitwie — odeszliśmy za Narew. Nowa nasza kwatera znajdowała się we wsi Sosnowcu, oddalonej od Narwi o jakie 5 wiorst. O 500 kroków od naszej kwatery, płynęła środkiem błotnistych łąk rzeczka, dopływ Narwi. Nasze nadzieje na wielkie ilości kaczek i kszyków zupełnie zawiodły, z powodu ogromnej masy, przemocą ewakuowanej ludności za Narwią. Nieszczęśnicy ci rozłożyli się po lasach, wzdłuż rzeczki i naturalnie płoszyli wszelką zwierzynę. Dwa tygodnie staliśmy w Sosnowcu, przez ten czas mało polowaliśmy, bo bezustanne bitwy o przeprawę przez Narew, a co zatem idzie masa rannych, wymagała ciągłej prawie bytności na pozycjach. Kilka razy wychodziliśmy na ciąg kaczek, ale bezskutecznie. Raz wyszedłem z moją suczką „Dianką“, którą wywiozłem przed szrapnelami ze dworu w Rydzewie, a którą następnie właściciel p. Grochowski mi podarował. Suczka była bardzo ładna i rasowa, ale zupełnie bez tresury, to też znalazłszy stadko kuropatw, rozpędziła je na wszystkie strony; pomimo tego udało mi się zabić trzy kuropatwy; byłbym prawdopodobnie zabił więcej, ale pułkownik Samarkandzkiego pułku, który za poblizkim laskiem ćwiczył swoich „nowobrańców“, przysłał do mnie oficera, który mię aresztował i odprowadził do mojej kwatery, gdzie uwolniłem się dopiero pokazaniem memu prześladowcy pozwolenia na polowanie generała Plewego, komendanta naszej 12. armji.

(C. d. n.)



JÓZEF BARTMAŃSKI.

Obrazki myśliwskie z wojny.

(Urywki: Z ciężkich czasów obrazki wesołe, tom I. i z tomu II., niewydanego dotąd, z powodów cenzuralnych.)

—

(Ciąg dalszy.)

Z Galicji.

Reichsgraf von und zu... zakwaterował się w pałacu polskiego pana, a że w książęcej bażantarni żyło wówczas jeszcze dużo bażantów, prosił o zezwolenie odstrzału sztuk kilkunastu.

Gościnny i lojalny gospodarz, — albowiem nielojalnymi bywali nasi magnaci, co najwyżej, wobec naszych własnych królów, — i bażantarnię i strzelca swego oddał do dyspozycji, a że Reichsgraf von und zu... kłopotał się jeszcze brakiem odpowiedniej broni, książę, ze swej bogatej zbrojowni myśliwskiej, dwie kosztowne strzelby z amunicją do użytku ofiarował.

Polował więc Reichsgraf von und zu..., tłukł mnogie bażanty, zjadał niezgorsze obiady przy książęcym stole, emablował najdoskonalszym paryskim akcentem księżnę i księżniczki, uznany za kawalera bez błędu, miłego, ugrzecznionego, najlepiej wychowanego towarzysza w salonie.

Lecz po dniach kilku Reichsgraf von und zu . . . wyjechał bez pożegnania, zabierając przez zapomnienie postrzelane bażanty, przez roztargnienie pożyczone strzelby i wielbłądzi kocyk z łóżka, a zdumiony książę mówił do zdziwionej księżny, iż dobre wychowanie i u Reichsgrafów poczynać się winno od poszanowania cudzej własności.

Z Albanji.

Polowanie na psy.

W Albanji wszystko na odwrót się dzieje: kogut tam szczeka, natomiast pies pieje, ryba sobie lata, w bagnie pływa wrona, a żółwia chyżość jest niedościgniona, kot żywi się trawą, świnia łapie myszy, Albańczyk je pomyje, a gębą słyszy, krowa jest jako cielę niewyrosła, wielkość wszy natomiast fantazyjnie wzniosła, przy lepszym kraju tegoż ustroju do ichtiozaurusa dojdzie tam rozwoju, szczur nosi pończochy, żaba żre bociana, a dziwne są maniery albańskiego pana: gdy przeczy — potakuje, potakując — przeczy, takie i podobne dzieją się tam rzeczy.

Piejąca taka luba, miła psina, od północy do świtu koncert mi uczynia noc w noc pod oknami, straszniejszy od wszelkiej opery Wagnera, od Siegfrieda, Rheingoldu

et cetera. Djabli człeka brali! Pieśni takiej nie zniosą i nerwy ze stali. Chwytam za rewolwer, wypadam rozżarty i w psinę trzy razy walę nie na żarty... Nieboszczyk w nogi, a posterunek biorąc me strzały na własny rachunek, w odpowiedzi z ołowiu kulkę mi posyła, rzecz niesympatyczna i wcale niemiła. Bojąc się dalszej strzałów falangi, ryczę — nie strzelać! Oficerskie mam rangi, a dla tem większej bezpieczności, wraz z mięsem na ziemię rżnę me stare kości. Leżąc, rozmyślałem, czy mam szańce kopać, czy krzyczeć, czy milczeć, czy śmiać się, czy szlochać i myśli takie przychodzą do głowy: — Boże! choć jeden karabin maszynowy!

Potem z żołnierzem parlamentowałem; że był człowiekiem, nie żadnym . . . Madjarem, wnet przyszło do porozumienia i broni zawieszenia.

Wróciłem do izby, wróciła i psina, i za kwadransik już nowy koncert mi wycina.

Na bawoły.

Mnogo razy księżyc odmienił się złoty, jak chorąży na bagnach rozbił swe namioty, a w bujnych włosów albańskich dziewic cieniu, wszy się już mnożyły w setnem pokoleniu — od onej chwili, gdy drogą strudzony spoczął chorąży samotnie stulony, i śnił i marzył o jej uśmiechu, o blaskach jej oczu, o wonnym oddechu, o puszku brzoskwini na różowych licach, o papy starego licznych kamienicach, marzył, i błogim snem ujęty, zasnął wniebowzięty.

Spał długo i zdrowo, a gdy się zbudził z rana, wieść go czekała wcale niespodziana, że trzoda bydła, którą wiódł z daleka, zadarłszy ogony, hen w bagna ucieka.

Chorąży, jako mężem był służbistym, walnym żołnierzem, młodzianem siarczystym, bez zwłoki się rzuca za bydłem w pogoni — lecz z zadartym ogonem któż bydło dogoni! Pokryło się w bagnach wśród krzewów ciernistych, szuwarów i jarów i trzcin prawieczystych.

Chorąży zadanie uznał za spełnione, zostawił bydło wolne, w bagnach, nie zgonione, a bojąc się srogiej odpowiedzialności, w garść zebrał kości, i gdzieś na drugim Albanji krańcu, oparł się w szańcu.

Płynęły wody, jak wciąż jeszcze płyną, fale gonią fale i u brzegów giną, niewstrzymanym krokiem czas stale ubieża, na mężu albańskim koszula już świeża, bo od onej chwili miesięcy sześć minęło, gdy najniespodziewaniej chorążego wzięło.

Spostrzegł dziwnym trafem nadintendant srogi, iż mu sto sztuk bydła zginęło do nogi! Hejże na Soplicę! dajcie chorążego! niech się w mig tłumaczy, co zrobił, dlaczego.

Przybył więc chorąży mocno utrapiony, marszem z stron dalekich ciężko utrudzony, lecz mieszkała jednak dusza w nim rogata, podjął się sprawę ubić, jak wystrzelił z bata, a postawił tylko to jedno żądanie, aby pluton strzelców dać na zawołanie.

Dostał też powoli zastęp mężów dzielny, o sokolim wzroku i w strzelaniu celny, ustawił swe męże w wojenne szeregi, zaklął i pogonił w bagniste bezbrzegi, a dnia następnego już doniósł przez posła, iż ubił pięć byków, przypadkiem i osła.

Dziewicze puszcze w prerjach Ameryki, niedostępne stepy upalnej Afryki bawołów moce kryją nieprzebrane, bawoły jednak i w Albanji znane, tak się przynajmniej chorążemu zdało, bo łupił i tłumił co się tylko dało, aż wierzgał intendant rozpromnieniony, bo wrócą mu! wrócą! owieczki stracone.

Prażone celnym ogniem bawoły padały, inne postrzelone w gąszcza uciekały, tu i ówdzie któremuś nawet się udało do rodzinnej zagrody wrócić zdrowo, cało, a Albańscy męże klnąc aljantów łowy, kupami się stawili, że... tłuką im krowy!

Znękany intendant marne robił miny i płacił, przeklinając chorążego czyny.

Na equs Przewalski.

Rozbiegły się wieści od końca do końca, hen gdzieś od wschodu do zachodu słońca, jak chorąży ogniście z bawoły się ściera, aż zazdrość brzydka kolegę rozpiera.

Wart pałac Paca, a Pac pałaca: bawoły w dzikie konie przeistacza, equs Przewalski, i szle doniesienia jako widuje takowe stworzenia, że jednak jest wiernie służbie oddany,—więc gotów rumaki chwytać na arkany.

Licząc, że z rzeczy nowa szopa będzie, na własną rękę wysyłam orędzie, (byłem adjutantem komendy grupy z takim szerokim zakresem działania) uznając myśli niezwykłe przymioty, świetność pomysłu i nadmiary cnoty.

Raz ledwie zegar w koło się obrócił, cowboy z wildwestu zwycięzko zawrócił, prowadząc rumaki z dziarską ochotą na lassa łapane — a gdy się wiecznie powtarzają dzieje — byczy był koniec i tej epopeji — za swymi szły końmi Albańce stroskane.

Koniec afery.

Telefon brzęczy... Słucham co takiego... Z nakazu A. O. K. rezerwatowego Nr 67975841799781325868739465938 82. . i cztery... Miserere!... co to będzie!... co to będzie!... Aż nagle głucho i cicho wszędzie, coś się w telefonie, jak to często bywa, raptem przerwało. Lecz po chwili szły cyfry już w dalszym szeregu, bez brzegu... bez brzegu!... Potem zabrzmiało imię me i nazwisko, i na urągowisko, coś zahucało i znów się urwało.

Ha! myślę, trza się rozglądnąć za mapami, prowadzim wojnę i z Chińczykami, wie licho, czy nie w odcinek chiński, Kanton lub Honkong, w front może pekiński cyfr kwadryljony wpakują mię szpony!

Jakoś dziwnie telefon był znarowiony, źle trawił zapewne miljony, biljony i długo trwało nim się udobruchał, a jam stał milcząc i... słuchał... i słuchał!

Wreszcie przemówił uruchomiony — do namiestnictwa w Krakowie jestem przeniesiony.

Nie będę zapewniać, nie trwało godziny, dosiadłem konika do Krakowa płynę.

Nakoniec jeszcze dyshonor spotkał mnie srogi, bo zanim przestąpiłem Albanji progi, poddać się musiałem próbnej operacji, czy w krwi nie noszę malaryjnej nacji. Lekarz mi z ucha wytoczył krwi strugi, nalepił plaster szeroki i długi, byłem zbadany i... kolczykowany, miasto ordery... Oto i koniec albańskiej afery.



TYDZIEŃ POLESKI

przez

A. BARTHELSA.

(Ciąg dalszy.)

XIII.

Śpi dobrze człek po głuszcach i smacznym bigosie,
To też jak grzmot chrapanie leje się po wrzosie,
Sześć par płuc chłonie świeże powietrze z hałasem,
I sześć nosów oddaje napowrót je basem
Taktem miarowym, zgodnym, równym, jak bieg wody,
Oj! żeby to we wszystkiem u nas tyle zgody,
Taka piękna harmonija, taka jedność w zdaniu
I tak szlachetny zapał, jak w owem chrapaniu!
Pierwszy zerwał się Paweł... Panowie, do czarta!
Wstawać... dość wylęgania gnuśnego... już czwarta...
Do maleńkiej przekąski napijem się wódki
I w drodę — ot ospalstwa i gawędy skutki,
Zamiast wnet po śniadaniu zasnąć... gadu, gadu,
A teraz przez gawędę wszyscy bez obiadu...
Ale co to za wózek i koń uwiązany?...
Toż moja kałamaszka i mój koń bułany,
Gdzie człowiek? Hej! jest kto tam? — Jestem, proszę pana,
I wyłazi z za krzaka figura zaspana...,
Filip, kucharz Pawełka z drugim jakimś dziadem.
— A wy co? — My do panów od pani z obiadem..
— Hura! Pani Pawłowa! to mi panie żona!...
Cóż tam jest? — Jest barszcz, panie, jest pieczeń duszona,
Jest rondelek kołdunów... — kołduny! wygrana,
Na cześć pani Pawłowej wszyscy na kolana,
Jej cześć, jej sława, wdzięczność, szacunek do truny,
Za barszcz, duszoną pieczeń, głównie za kołduny!
A teraz do roboty... I staje przed nami
Z złocistemi, jak bursztyn rondel kołdunami.
Łyżki w rękach błysnęły... podjęta pokrywa,
Nasamprzód wonnej pary obłok nam odkrywa,
Ten się z wiatrem rozwiewa, i z wdziękiem spiętrzone
Kołduny się przed okiem jawią złakomione, —
Chwila tylko zachwytu przed takim obrazem,
I sześć łyżek się w rondel topi jednym razem
W uroczystem milczeniu, przerwanem niekiedy
Apetycznem cmokaniem zgłodniałej czeredy,
I trzy kopy kołdunów, na wiek wieków, panie
Pochłonęły litewskich żołądków otchłanie!
Barszcz potem zabielany ze smaczną wędlinką,
Zarumieniony suto po wierzchu słoninką
Znikł w jednem okamgnieniu, a koleją zwykłą
Znikła pieczeń, i wszystko po pieczeni znikło,
Masło, ser, piwo, wódka, — wrzos czysty pozostał.
Po myśliwskim obiedzie, piesby jeść nie dostał!
Teraz fajki i w drogę... — Powstali szlachcice,
Zaczerwienione nosy, rozognione lice
Zdradzają to szlachetne serc zadowolenie,
Przy spokojnym żołądku — spokojne sumienie...
Rozdane główne role. — Jan, na słonki wiedzie
Ociężałych porządnie po sutym obiedzie,
Ignacego i Rocha, — Paweł, z starym sługą,
W jedną stronę na podsłuch, — a ja w stronę drugą
Z Piotrem, co trochę ślepy, a porządnie głuchy,
Na znajome mi miejsce — także na podsłuchy.
A że kawał niemały, nim doszli do końca,
Akurat sama pora... pyszny zachód słońca.

XIV.

Siedzim w gęstwinie
Na czystym borze,
Tam na choinie
Zasiąść gdzie może...
Tutaj na lewo
Miejsce ograne —
A tamte drzewo
Dobrze mi znane.
O! toż je kląłem
I nałajałem,
Głuszca palnąłem
I — spudłowałem.
A tamże z boku,
W kawałku hałym,
Przeszłego roku
Aż dwa dostałem;
Więc nie ma czego
Tak bardzo radzić,
Nie dwa, jednego
Musim zasadzić!..,
Siedzieć więc cicho,
I słuchać bacznie,
Zaraz to licho
Zlatywać zacznie...



W twarz, oczy i uszy,
I człek cierpi tylko cicho,
Bo głuszca poruszy...
W tem łup, łup, łup — gdzieś zasiada,
Cicho panie Pietrze,
Głuszec jakiś to nielada!
Zadrgało powietrze...
Łup łup, bliżej, i już słychać
E, e, e, donośne
Aż trudno człeku oddychać
Takie to radośne...
Znowu cicho minut parę
Jakby go nie było,
Serce w człeku, chociaż stare
Jak młotem zabiło...
Łup, łup, znowu się przeprawił
Ot gdzieś tu bliziutko,
Znów swe e, e, e, odwalił
I siedzi cichutko...
Lecz co słyszę, wielki Boże!
Telękać zaczyna,
A nuż zagra nam pieśń może
To będzie nowina!
Jest dalipan — jedna — druga —
Oto panie dziwo,
Lecz wieczorna gra niedługa!
Wstawaj Pietrze żywo!...
Zerwał się Piotr, choć sam głuchy,
Kopnął się z kopyta,
Aż trzeszczy pod nim las suchy
Tak gorąco chwyta —
Jak łoś sadzi wielkie kroki
Ale skacze gładko,
Gdzie gęsto po dwa, trzy kroki
Po cztery — gdzie rzadko...
I znikł w gąszczu... ja tymczasem
Słucham, co to będzie,
Bacząc pilnie ponad lasem
Czy drugi nie siędzie...
Głuszec wali... gra tak lubo,
Aż las w koło stęka
Gra wyraźnie, głośno, grubo,
I mało telęka.
Stoję — słucham, oj bo granie,
Że posłuchać miło,
Takiej muzyki, mosanie,
Niema i nie było...
W tem w pół pieśni... Bac, jak
[z działa,
Wiwat panie Pietrze!
Puszcza echem się ozwała,
Głuszec się nie zetrze,
Słychać jak skrzydłami, panie,
Po ziemi łopocze,
Et dalipan na spotkanie
I ja tam podskoczę...
Biegnę naprzód, aż tu niesie
Piotr głuszca, jak ciele...
— A co? mówię, jak zdaje się,
Czy gruszki w popiele?
A on z potu trąc łysinę
Z uczuciem odpowie:
Tęgi jesteś, niechaj zginę
Daj ci Boże zdrowie!
Ścisnął rękę w uniesieniu
Poczciwe Piotrzysko,
I wróciliśmy w milczeniu
Na swe stanowisko. —
Kiedy idzie co po myśli,
To idzie jak z płatka,
Ledwieśmy na miejsce przyszli,
Osłuchali z rzadka,
Już łup, łup, na wszystkie strony,
Aż w duszy pociecha,
I ten, i ten zasadzony,
Piotr aż się uśmiecha...
Jeden zasiadł ot tak blizko,
Prawie nad głowami,
Zlękło się biedne Piotrzysko. —
— Co będzie z głuszcami?...
— Nic, powiadam, za mną śmiało
Idź, nic to nie szkodzi,
Będzie się jemu zdawało,
Że to łoś przechodzi...
I poszliśmy ciężkim krokiem
Trzeszcząc gałęziami,
Tylko w milczeniu głębokiem,
Żeby się czasami
Nie obejrzał, że rozprawa
Nie z zwierzem poczciwem,
Ale z człekiem krucha sprawa,
Co gorsza — z myśliwym.
Bo to dziwna, że co żyje,
Instynktem docieka,
Że nie ma w świecie bestji
Gorszej od człowieka.
I ten głuszec, co na choi
Ostrożnie telęka,

XV.

Siedzim cicho, a rojami
Tną w uszy komary,
Oj! bo z tymi komarami
Ambaras bez miary!
A niechajże głuszec blizko,
Gdziekolwiek zasiędzie,
To niecnota komarzysko
Krwi ludzkiej dobędzie!
Tnij zbrodniarzu, bierz cię
[licho,

Djabła pewnie się nie boi,
A człeka się lęka.
Tak przeszliśmy wśród milczenia
Kroków jakich dwieście,
Głuszce siedzą — jak z kamienia
Mamy ich nareszcie.

XVI.

Jak się to człowiek w duszy swej cieszy,
Jak się to czwani, mój mocny Boże!
Jak się do ludzi pociesznie śpieszy,
Kiedy się dobrem pochwalić może.
Tak i my z Piotrem spieszymy raźnie,
A Piotr po przedzie, tym krokim śmiałym,
Który dowodzi, widać wyraźnie,
Że się chce swoim pochwalić strzałem. —
Ale przyszedłszy już do kurenia,
Żeby pokazać braciom myśliwym,
Że to dla niego rzecz bez znaczenia,
Że o to nie dba, że to rzecz mała,
Co mu się nieraz w życiu zdarzała,
Nie tym już krokim gęstym i żywym
Wchodzi do koła, ale powoli,
Leniwym środek przerzyna krokiem,
Zimny pozornie, wierny swej roli,
Spokojnem w koło pociągnął okiem,
Głuszca zawiesza na gałąź choi
Mówiąc: — A u was, panowie moi
Co słychać przecie... macie zwierzynę?
Jakby pod wszystkich podsadził minę,
Skoczyli razem, pełno hałasu...
— Jakto! jest głuszec, Piotrusiu brawo!
Nie zmarnowałeś prochu i czasu,
Jakże to było, gadajże żwawo...
tu Piotr zawsze tym samym tonem
Zaczyna opis swojego strzału,
Jak głuszec zasiadł, jakim szalonym
Gąszczem pod niego skradł się pomału,
Ile stał pieśni, ile przeskoczył,
Jakie tam były trudy, zawały,
Jak go z trudnością nareszcie zoczył
Na grubej sośnie; — ten opis cały
Trwał z pół godziny, nim doszedł wreszcie
Że go na kroków podszedł dwadzieście,
Świeże pistony na brandki nabił,
Wycelił pilnie — urżnął i zabił...
Słowem Piotr nie ten człowiek, co z rana,
Figura kwaśna i rozdąsana,
Teraz ruchawy, rozpromieniony,
Rozkoszny, miły i ożywiony,
Dowodzi zdaniem pewnem i szczerem,
Że sam się czuje być bohaterem
Dnia dzisiejszego, i że swej chwały
Nie odda dzisiaj za świat ten cały; —
Jakoż koledzy pewne pobudki
W tem upatrując napić się wódki,
Dalej plądrować zapasy nasze —
Dobyli starki porządną flaszę,
I z gęstą miną. nie tą, co z rana
Do pana Piotra: — W ręce Acana!

(C. d. n.)



Przydział śrutu na rok 1918/19.

Zarządzeniem c. k. Namiestnictwa (L. $\frac{127457/XVIa}{1014}$) powierzono sprzedaż przeznaczonego dla Galicji wsch. kontygentu śrutu Gal. Spółce Myśliwskiej, Lwów, ul. Karola Ludwika 1. za przedłożeniem karty poboru na śrut.

Karty te, których uzyskanie jest zależne od posiadania karty myśliwskiej, ważnej na r. 1918/19 (względnie certyfikatu myśliwskiego) wydają dytyczące Starostwa.

Myśliwi, zamieszkali we Lwowie mieście (nie powiecie!) mogą podejmować je bezpośrednio w w biurze G. T. Ł., od godziny 11. do 1. przed południem.

Składnicę śrutu dla Galicji zachodniej powierzono firmie Splichala w Krakowie.

Sprawy Towarzystwa.

W poczet członków GTŁ. wpisali się w dalszym ciągu za sprawą pp. wicepr. Sew. Krogulskiego, dyr. Midowicza, J. Jabłonowskiego i Weissgerbera, pp.:

Berg Gottfryd, Lwów, ul. Jagiellońska 15
Dutkiewicz Kazimierz, Jasło.
Flis Kazimierz Dr, Rudki.
Kaliciński Józef, Lwów, ul. św. Marcina 41.
Rey hr. Tadeusz, Przyborowie, p. Grabiny.
Rey hr. Andrzej, Mielec.
Romer Aleksander, Jodłownik.
Wygoda Benedykt, Gródek Jagielloński.

Delegatem na powiat limanowski mianował Wydział G. T. Ł. p. Aleksandra Romera, a byłemu delegatowi na powiat pilzneński, p. Michałowi Struszkiewiczowi, zatwierdzono mandat na powiat rzeszowski.

Członkom naszym, którzy ubezpieczyli się roku zeszłego od wypadków i odpowiedzialności prawnej w „Kosmosie“ przypominamy, że opłata ważna jest na rok jeden, licząc od daty wpłacenia czeku, a zaniedbanie odnowienia asekuracji w czasie właściwym, pociąga jej utratę!

Dołączone czeki „Kosmosa“ na K 20·— należy przeto z chwilą wygaśnięcia terminu bezzwłocznie wpłacić!

Wszystkich, dotychczas nie ubezpieczonych, — zachęcamy jak najusilniej do uskutecznienia tego. Następuje to automatycznie po wpłaceniu czeku. Jakakolwiek dalsza korespondencja odpada, G. T. Ł. bowiem samo załatwia potrzebne formalności z Towarzystwem „Kosmos“ dla ubezpieczonego zaś stanowi policę odcinek czeku.

Minimalnym zatem kosztem i wysiłkiem zapewnia sobie ubezpieczony znaczne odszkodowanie w razie jakiegokolwiek wypadku mającego bezpośredni związek z wykonywaniem polowania, podróżą na polowanie itp.

Szczegółowe dane co do asekuracji podaje ogłoszenie „Kosmosa“ w 1. i 2. Nrze „Łowca“ z r. b.

Na budowę ołtarza św. Huberta złożył delegat G. T. Ł. p. Stanisław Jaśkiewicz z Radziechowa . . . . . . K 50·—

Wobec zmniejszenia się ciężarów i trosk, które nasz kraj przez trzy lata, — jako bezpośredni teren wojenny trapiły, — Komitet Budowy Ołtarza otwiera ponownie listę składek i najgoręcej uprasza o wydatne zasilanie tego funduszu. Zbożna ta i szlachetna ofiara, mająca dać wiekopomną myśliwym naszym pamiątkę w świątyni Pańskiej, nie powinna i nie może być zaniedbana lub odłożona na czas nieokreślony, w dzisiejszych zaś czasach obfitości gotówki — datki na nią powinne popłynąć hojnie!

Myśliwi nasi dość mają sposobności, na polowaniach zbiorowych przez dobrowolne opodatkowanie się w formie grzywien za pudła, strzały niemyśliwskie lub przekroczenia reguł poprawnego łowiectwa, zbierać pokaźniejsze składki.

W szczególności wznawia Komitet Budowy Ołtarza apel, wystosowany przed kilku laty, by każdy polujący na rykowisku, a obdarzony z łaski naszego Patrona szczęśliwem spotkaniem z jeleniem, składał przynajmniej po 5 K od każdej odnogi zdobytego wieńca.



Z żałobnej karty.

Ś. † p.

ANTONI ZE SKRZYNNA SKRZYŃSKI

właściciel dóbr ziemskich, długoletni członek i delegat G. T. Ł. padł ofiarą wypadku automobilowego.

Jeden z nalepszych gospodarzy, zamiłowany myśliwy, znakomity hodowca zwierzyny i pierwszorzędny kinolog, którego rewiry oraz psiarnia znane były licznym wyznawcom kultu św. Huberta z wysokiego stopnia kultury i obfitości zwierza, — odszedł od nas niepowrotnie!

Dzisiaj, gdy ubytek każdej siły i każdego serca miłującego zagon ojczysty, tak nielitościwie wojną zniszczony, przejmuje żalem szczerym, zapisujemy stratę tę z tem większem ubolewaniem, że w śp. Zmarłym ubywa człowiek, który pracę na roli i w kniei spełniał gorliwie, — na wzór innym.

Cześć Jego Pamięci!

OGŁOSZENIA.

Wszelkie kupony

i wylosowane papiery wartościowe
wypłaca bez potrącenia prowizji lub kosztów
Kantor wymiany
uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

BANKU HIPOTECZNEGO

Jako dobrą i pewną lokację
polecamy

4½ i 4% Listy hipoteczne,
4½ i 4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½ i 4% Listy Banku krajowego,
4½ i 4% Pożyczki krajowe,
i wszelkie renty państwowe, oraz losy.

Walory te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym:

KANTOR WYMIANY
uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

BANKU HIPOTECZNEGO

Mauser z lunetą z nabojami — sprzedam. Zgłoszenia Lwów, ul. Niemcewicza 24 nr. drzwi 10. Między godz. 12—2. po południu.

Browning cal. 16., dobrze utrzymany, zamienię, ewentualnie z dopłatą, za hamerleskę 16. Juljusz Biedermann, Chodorów.



ATELIER ARTYSTYCZNE

zoologiczno-dermoplastyczne
pierwsze pod względem artystycznego wykończenia gruboskórnych zwierząt i wielkich ssaków.

Sporządza dermoplastycznie wszystkie gatunki ssaków i ptaków według najnowszych wymogów techniki preperatorskiej, po umiarkowanych cenach.

Przyjmuje wszystkie rodzaje rogów do montowania i kopiowania.

KALKUS FRANCISZEK

konserwator muzeum im. hr. Dzieduszyckich.
Lwów ul. Staszica l. 3.

Filia c. k. uprz. austr. Zakładu kredytowego dla Handlu i Przemysłu

we Lwowie, Trzeciego Maja 14. — Zakład centralny w Wiedniu.

Kapitał akcyjny K 150,000.000. — Fundusze rezerwowe K 33,000.000.

Załatwia wszelkie transakcje bankowe. — Przyjmuje wkładki na książeczki oszczędności po 3½% z kapitalizacją półroczną. — Kwoty do 5.000 wypłaca bez poprzedniego wypowiedzenia. — Podatek rentowy opłaca Zakład z własnych funduszów. — Kupuje i sprzedaje papiery wartościowe, dewizy i waluty po kursie dziennym. — Pośredniczy w zakupnie i sprzedaży efektów na wszystkich giełdach światowych. — Wydaje przekazy i akredytywy na wszystkie miejscowości zagraniczne. — Przyjmuje w przechowanie i administrację depozyty. — Wynajmuje schowki (safe deposits) za opłatą K 25 do 70 rocznie w świeżo założonych kasach pancernych.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor naczelny i odpowiedzialny Seweryn Krogulski
Odbito w drukarni „POLONIA“ we Lwowie, ul. Ossolińskich l. 16.